

Łukasz Maślanka: Prasa na peryferiach

Władza, która porywa się na bardzo wiele ambitnych projektów w różnych dziedzinach, powinna przeto pomyśleć o założeniu, na przykład za pośrednictwem zależnych od siebie spółek skarbu państwa, nowej gazety, pamiętając, że nie ma to być ani gazeta partyjna, ani tożsamościowa, lecz... konfucjańska, państwowotwórcza - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czwarta władza tekst Łukasza Maślanki.

Nie ma powodu, dla którego polska prasa miałyby wyróżniać się w pozytywny sposób na tle krajobrazu III RP dwudziestego siódmego roku transformacji. Funkcjonujące w niej podziały stanowią odbicie dwóch głównych płaszczyzn konfliktu politycznego we współczesnej Polsce. Po pierwsze, dzieli się ona zgodnie z linią frontu na scenie politycznej. To poniekąd naturalne: spora część dziennikarzy, podobnie jak i polityków, wywodzi się z podziemia antykomunistycznego. Główną metodą jego działania obok strajków – wobec porzucenia koncepcji walki zbrojnej – była nielegalna aktywność publicystyczna i wydawnicza. Trzeba ponadto pamiętać, że niezwykle wpływowa w mediach III RP część opozycji wywodziła się ze środowisk komunistycznych, w których ulotka i słowo pisane traktowane było ze śmiertelną powagą jako jedno z najważniejszych oręży walki ideowej. Stefan Kisielewski miał rację, gdy szczelności peerelowskiej cenzury dopatrywał się w tym właśnie stosunku samych komunistów do prasy jako skutecznego narzędzia dywersji. Po drugie, polska prasa, czy też raczej prasa w Polsce, stanowi emanację przemożnego wpływu obcych

mocarstw na naszą politykę. To zjawisko, którego w żaden sposób nie można uznać za normalne, ma bardzo długą, sięgającą XVIII wieku tradycję i potwierdza diagnozę tych, którzy III RP nie uważają za państwo całkowicie niepodległe.

Jestem umiarkowanym zwolennikiem teorii spiskowych dotyczących transformacji ustrojowej. Skoro przekazanie władzy politycznej odbyło się w ramach głębokiego porozumienia części elit komunistycznych z częścią elit opozycyjnych, nie było powodu, by tak ważny i lukratywny środek oddziaływania na masy jak prasa, telewizja i radiofonia pozostały poza zasięgiem nowego ładu. Państwową cenzurę zastąpił dyktat Jedynie Słusznej Redakcji rozdającej uśmiechy i przygany, które – zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych – równoznaczne były, odpowiednio, z kooptacją do elit lub ze śmiercią cywilną. Nie była to w warunkach polskich tradycja nowa, jednak “Słonimska” kawiarnia i przedwojenne “Wiadomości Literackie” posiadały znacznie znacznie bardziej ograniczony zasięg i nie odgrywały większej roli w kształtowaniu bieżącej polityki ekipy sanacyjnej., z którą zresztą sympatyzowały. Tymczasem Jedynie Słuszna Redakcja – zasilana kapitałowo z terytorium nowego wielkiego Sojusznika – dyktowała nie tylko ogólny klimat ideowy transformacji, lecz również kierunki polskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej. Dopóki chodziło o jak najszybsze przyłączenie Polski do militarnych i politycznych struktur Zachodu, trudno było z tym kierunkiem polemizować. Dziś ta bezalternatywność wydaje się jeszcze bardziej oczywista, gdy obserwujemy los sąsiedniego kraju, który poza tymi strukturami pozostał.

Znacznie bardziej kontrowersyjne były poglądy Jedynie Słusznej Redakcji w zakresie polityki wewnętrznej. Często kłóciły się one z uczuciami „milczącego ogółu”, toteż szybko spotkały się z opozycją części prawicowej i prosocjalnej inteligencji, która na różnych etapach wykluczyła się lub została wykluczona z wielkiego scenariusza przemian. Środowiska te nie mogły liczyć na wielki kapitał zagraniczny ani na środki zgromadzone przez przedstawicieli komunistycznych służb specjalnych. Działyły po omacku, metodami częściowo chałupniczymi, często w sposób nieporadny. Aparat represji i cenzura zostały zastąpione pozwami z powództwa prywatnego, które z równą skutecznością niszczyły ludzi niepokornych i wyznaczały dość wąskie – jak na realia państwa demokratycznego – granice krytyki. Granice wykuwane przez Jedynie Słuszną Redakcję w milczącym porozumieniu z wierną grupą swoich czytelników i prenumeratorów: „rozgrzanych” sędziów wydziałów cywilnych. Wszystko to sprawiało, że po niezwykle efektownej zmianie dekoracji i licznych przetasowaniach kadrowych sytuacja psychologiczna pozostała taka sama jak w PRL-u: byli dziennikarze stojący na straży jakiegoś ładu i dziennikarze starający się z tym ładem walczyć. Czasami w warunkach gorszych niż dawniej, gdyż opinia światowa zaczęła w Polsce stawiać na stabilność, a nie na rewolucję. Obydwa środowiska, pod wpływem dynamiki tego samego konfliktu, choć z różnych przyczyn, zaczęły zamieniać się w sekty. „Strażnicy ładu” dlatego, że stanowili w społeczeństwie mniejszość, często odizolowaną od życia polskiego *pays réel* od kilku pokoleń, zaś „prześladowani” dlatego, że sami byli nieodrodnymi synami polskiej inteligencji i mieli ambicję zająć miejsca „strażników ładu”. Anormalność tego stanu rzeczy szybciej diagnozowali Polacy pozostający poza granicami kraju, nawet jeżeli ich osobiste sympatie

polityczne raczej powinny ich stawiać po stronie „strażników ładu”. Mam tu na myśli Jerzego Giedroycia czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Pierwsza połowa lat dwutysięcznych wzbudziła u wielu nadzieję na normalizację debaty prasowej. Afera Rywina naruszyła dobre samopoczucie wielu polskich inteligentów i zmusiła do zastanowienia się nad naturą kontaktów środowisk „lewicy laickiej” z postkomunistami. Wraz z akcesją Polski do Unii Europejskiej do naszego kraju zaczął również dopływać kapitał zagraniczny w sektorze mediów. Wielu „prześladowanym” stworzyło to możliwość uzyskania po raz pierwszy zatrudnienia na warunkach niwelujących różnicę prestiżową ze „strażnikami ładu”. Po pierwszym wyborczym zwycięstwie Prawa i Sprawiedliwości w 2005 roku „prześladowani” objęli również stanowiska w mediach publicznych oraz przejęli dziennik, którego współwłaścicielem był skarb państwa. Doszło do rozszczelnienia monopolu i w głównym nurcie pojawiły się po raz pierwszy głosy, które dotychczas spychane były do marginesu. Z perspektywy dekady muszę stwierdzić, że „prześladowani” nie wykorzystali najlepiej tego czasu z punktu widzenia polskiej racji stanu. Za dużo było wojen kulturowych, biografizmu historycznego, za mało solidnej analizy geopolitycznej i gospodarczej sytuacji Polski. Prawda: czasy były znacznie bardziej pokojowe i nikt jeszcze nie wyobrażał sobie tego, co miało nastąpić w niedalekiej przyszłości. Rosnąca siła Niemiec wydawała się czymś obiecującym po niezwykle ideologicznym i utopijnym okresie francuskiego przywództwa w Europie. Ludzie przewidujący zauważali potencjalne zagrożenia ze strony podtuczonej petrodolarami Rosji, ale ciężko było przewidzieć tragiczną śmierć prezydenta Kaczyńskiego i wojnę u naszych granic. Zewnętrzne ośrodki zauważyły jednak, że – mimo całej swojej nieporadności – obóz zmian może w przyszłości stać się czynnikiem

rewizjonistycznym, licytującym sprawę polską do góry, co godziło w interesy tych, którzy byli zainteresowani *status quo*. Efektem były przegrane wybory, stopniowe wycofywanie „prześladowanych” z mediów o kapitale zagranicznym i ośmioletni okres próby przywrócenia stanu debaty sprzed afery Rywina.

Z wielu względów okazało się to niemożliwe. W szybko zmieniającym się świecie Jedynie Słuszna Redakcja zaczęła wydawać się niezmiernie archaiczna w swoim uporze nierozumienia narodu, w otoczeniu którego przyszło jej działać. Ta głuchota odróżniała ją od nowej ekipy rządzącej, zręcznie manipulującej nastrojami społecznymi. Zepchnięci do głębokiej defensywy, zwłaszcza po Smoleńsku, „prześladowani” zaczęli rozumieć konieczność budowy własnych ośrodków opiniotwórczych w oparciu o niezależny kapitał. Powstało kilka „wojujących” redakcji, które bez wątpienia odegrały swoją rolę w stopniowym odwojowaniu nastrojów społecznych. Cechująca je estetyka wojny kulturowej, sposób argumentacji, mentorski ton, *besserwisterstwo* nie odpowiadają mi, czasami łudzaco przypominają Jedynie Słuszną Redakcję. Odegrały jednak one niezwykle istotną rolę *watchdoga* w trudnych dla polskiej demokracji latach rządów Platformy Obywatelskiej. „Prześladowanym” pomogło umasowienie Internetu, które doprowadziło do gwałtownego spadku kosztu udostępniania treści masowemu odbiorcy, ale jednocześnie spadku jakości tych treści, gdyż media internetowe wciąż pozostają w dużej mierze darmowe.

Lata 2015 i 2016 to kolejny okres gorącej wojny medialnej w Polsce. Jedynie Słuszna (niegdyś) Redakcja występuje w niej w jednym obozie z polskojęzyczną prasą zagraniczną, większością mediów internetowych, natomiast po drugiej stronie lokuje się dość niszowy dziennik katolicki, dwa tabloidy, trzy popularne tygodniki, kilka portali i – począwszy od

stycznia 2016 roku – media publiczne, które wcześniej gorliwie włączały się nagonkę na Prawo i Sprawiedliwość, a także cała masa internetowych ośrodków eksperckich prowadzonych przez ludzi młodych i dynamicznych. Rzeczą zauważalną jest to, że obecnej strony rządowej nie wspiera żaden duży dziennik niebulwarowy. To poważny mankament, gdyż dzienniki są głównym źródłem dla wysyłających clarisy do swoich stolic dyplomatów. Władza, która porywa się na bardzo wiele ambitnych projektów w różnych dziedzinach, powinna przeto pomyśleć o założeniu, na przykład za pośrednictwem zależnych od siebie spółek skarbu państwa, nowej gazety, pamiętając, że nie ma to być ani gazeta partyjna, ani tożsamościowa, lecz... konfucjańska, państwowotwórcza. Do minimum powinno się w niej ograniczyć publicystykę odnoszącą się do bieżącej walki politycznej, spraw obyczajowych i światopoglądowych. Dominować mają teksty eksperckie, tłumaczące w przystępny, lecz niewojowniczy sposób polską rację stanu. Gazeta taka powinna mieć bardzo profesjonalny dział gospodarczy, prawny, utrzymywać stałych korespondentów w miejscach istotnych z naszego punktu widzenia, przyciągać czytelników dobrymi reportażami z Polski i ze świata. Nie zajmowałyby się pisaniem państwowotwórczych relacji z przyjęcia przez prezydenta nowego ambasadora Górnej Wolty, ale zauważałaby wizytę prezydenta Chin w Polsce. Powinna zatrudniać dziennikarzy śledczych, potrafiących działać także poza Polską. Nasz kraj stał się w ostatnich miesiącach obiektem ataku ze strony różnych sił zewnętrznych. Siły te w naturalny sposób stały się częścią polskiej debaty publicznej i polski czytelnik ma prawo oczekiwać od dziennikarzy dokładnego ich prześwietlenia, zwłaszcza że na krytykę Polski pozwalają sobie ludzie wielokrotnie skompromitowani. Trudno tego oczekiwać od mediów, które same są częścią tych sił lub nie mają wystarczających na to środków. Dział kultury nowego medium powinien mieć oblicze konserwatywne, ale nie w znaczeniu, do którego przyzwyczailli nas prawicowe tygodniki. Chodzi o taki konserwatyzm, jaki panował w

wydawanym przez Jarosława Iwaszkiewicza miesięczniku „Twórczość”: głoszący przekonanie, że w okresie głębokiego kryzysu kultury i cywilizacji możliwe jest przechowanie pewnych wartości przetrwalnikowych, na których kiedyś znowu wyrosnie wielka proza, poezja, teatr, muzyka. Co ważne: rządowa gazeta nie może stać się kolejną przechowalnią kombatantów z grupy „prześladowanych”, zaprzyjaźnionych z żoliborską inteligencją nieśmiesznych satyryków, telekaznodziejów i innych osób z głębokimi traumami lat transformacji. Powinna raczej skupiać tych wszystkich dynamicznych i młodych ludzi, którzy uruchomili w zeszłym roku potencjał zmian w poczuciu, że Polsce potrzebne jest odblokowanie potencjału rozwojowego.

Czy tworzenie państwowej gazety nie wydaje się czymś archaicznym w XXI wieku? Pod wieloma względami nasza debata publiczna i realia są archaiczne, gdyż przez pół wieku mieliśmy do czynienia z zamrożeniem realnej debaty publicznej. Nie może się z tym pogodzić grupa „krajowych cudzoziemców” ani państwa zachodnie, które koniecznie chciałyby nam narzucić jakąś matrycę rozwojową. W istocie, w czym gorsza jest państwowa gazeta od państwowej telewizji? Kanonada mediów niemieckich przeciwko polskiemu rządowi świadczy o tym, że wśród ich właścicieli panuje w nich głęboka świadomość tego, co jest zgodne z niemieckimi interesami, a co im zagraża. I jak bardzo ich prywatny interes związany jest z interesem niemieckim. W polskiej prasie mainstreamowej tego przekonania nie ma. Trzeba narzucić nowe standardy. Rząd „narodowowyzwoleńczy”, który obejmuje władzę w kraju opanowanym dotąd przez elitę „kompradorską” musi znaleźć własne metody porozumiewania się ze światem i z własnym społeczeństwem. Może to zrobić w sposób głupi i zbrodniczy, jak to stało się w wielu państwach Afryki i Ameryki Łacińskiej, a może postępować rozsądnie i wprowadzać polski głos do centrum debaty

światowej. Media, które obecnie popierają rząd, mają charakter silnie tożsamościowy. Z kolei ambitne i doskonale przygotowane merytorycznie środowiska eksperckie są niszowe i pozbawione własnej trybuny. Państwo powinno zadziałać we własnym interesie i taką trybunę stworzyć.

Media pisane, papierowe i internetowe, są kluczowym narzędziem formułowania doktryny państwowej, kontroli klasy politycznej, jednoczenia elit wokół wspólnych wartości. Nie zajmują się problemami tych mediów, które z własnego wyboru lub z przyczyn uwikłań kapitałowych samodzielnie wybrały służenie racji stanu innych państw lub grup ponadnarodowych. Jednak odmiany wymaga także oblicze tych mediów, które zainteresowane są poważną debatą na temat przyszłości Polski. Trzeba wyjść z okopów, otrząsnąć się ze starych traum i myśleć o przyszłości. Polski głos musi być słyszany w europejskiej i światowej debacie publicznej. Dziś za Polskę mówią ci, którzy obawiają się utraty niesłusznie zdobytych przywilejów. Mówią rzeczy niestworzone. Aby ta sytuacja uległa zmianie, głos drugiej strony powinien być zrównoważony i pozbawiony cech rewolucyjnej ulotki, której nikt na europejskich i światowych salonach odczytywać nie będzie. Skoro brakuje wciąż kapitału prywatnego zainteresowanego powstaniem takiego medium, musi zadziałać państwo.